

Relacja przeprowadzona z P. Ireną Kwiecińską z d. Michalską przez Dariusza Marciniaka.

 ARCHIWUM WSCHODNIE

Nazywam się Irena Kwiecińska z d. Michalska, mieszkam obecnie w Lublinie. Urodziłam się 23 VII 1914 roku blisko Ojcowa. W roku 1923 tatuś mój otrzymał ziemię na Kresach. Zamieszkaliśmy w osadzie Wielkie Pola powiat Płonin. 10 II o pierwszej w nocy przyszli Sowieci, weszło dwóch NKWD-dziatów i trzech Białorusinów i kazali nam się zbierać. W pierwszej chwili myśleliśmy że przyszli aresztować Tatusia. Mama się zerwała chcąc przygotować coś ciepłego /czasy były trudne zdarzały się przypadki grabieży i morderstw/. Ojciec zaczął się ubierać, ale oni kazali zbierać się nam wszystkim całej rodzinie. Miałam wtedy 26 lat i troje swoich dzieci najmłodsza miała dwa lata. Moje dzieci Beata, Teresa i Halinka płakały. W domu rodziców znalazłam się przypadkowo. Na nasze nieszczęście mój mąż był nauczycielem i do tego oficerem rezerwy. W 1939 roku został zmobilizowany i walczył na froncie. Po wojnie powrócił do domu chcąc dalej uczyć dzieci, ale zaczęto go prześladować. Zabijali co drugiego Polaka. Zabili matkę naszej koleżanki, jego los podzielił sąsiad Brejnik. Ofiarą morderstwa padł też ksiądz. Zabrali go do lasu i tam stracili /było to chyba Rządziekowoszczywie k Koszowszczyzny. Myśmy uciekli do majątku myśląc, że tam będziemy bezpieczni, ale to wtedy zabili Brejniska. Zabili go na drodze. Jak mąż powrócił polityrucy wyprowadzili go na drogę za wioską i pytali miejscowych czy był dobrym nauczycielem. Dobrze, że mój mąż dobrze potrafił żyć z ludźmi i dlatego go puścili. Mąż pochodził z Opola Lubelskiego i tam postanowił uciec. Ja z dziećmi postanowiłam wrócić do rodziców, myśląc, że będzie mi tam łatwiej. do gminy okole powiat Płonin. W ten sposób znalazłam się u rodziców w chwili wywózki. Zabrali nas mnie i moje dzieci i moich rodziców Jana i Franciszkę. Powodem wywózki ojciec był fakt, że był osadnikiem wojskowym. Zawieźli nas do stacji Domanowa i tam zaprowadzono do wagonów zwanych "ciepłuszkami", były to wagony towarowe. Były one nieocieplone, a przecież na dworze mróz dochodził do 30 stopni. Zimy była bardzo ostra. Na stacji tej trzymali nas jakieś dwa tygodnie w strasznych warunkach w zamkniętych wagonach pod strasem.

Przez cały ten czas mieliśmy nadzieję, że może to pomyłka i nas zaraz wypuszczą. Niestety jednak przyszedł rozkaz i wyruszyliśmy w drogę. Kiedy przekraczaliśmy dawną granicę Polski zapanowała w wagonie straszna rozpacz. W czasie jazdy dawano nam wodę, jedzenie mieliśmy domowe. Na szczęście po przeprowadzeniu się do rodzinów nie zdążyłam rozpakować wszystkich walizek Dzięki temu mogłam zabrać sporo rzeczy ze sobą, dali nam bardzo mało czasu na spakowanie. Jak się później okazało była to sprawa życia lub śmierci. Jak jeszcze byliśmy w Polsce to z naszego wagonu przez wulgiarne okienko uciekła męczynna. Kiedy straż zorientowała się, że przecież zajęto nas liczonego pozabijali te i tak małe okienka. O ile wiem człowiekowi temu udało się przedrzeć wojnę. Do Archangielska jechaliśmy dwa tygodnie, w naszym wagonie nikt nie umarł. Wyładowano nas na stacji Chołmogorka. Tam podeszły do nas Rosjanki, kiedy zobaczyły mnie z dziećmi zaczęły płakać nad nami mówiąc, że nasze dzieci wszystkie umrą. Miały widać w tym doświadczenie i pewno nie j jedno już widziały. My jednak wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy co nas czeka na tej nieludzkiej ziemi. Mieliśmy jeszcze nadzieję, że ktoś się o nas upomni i wezwoli. Na stacji przesiadaliśmy kilka dni do czasu jak zorganizowali dla nas sanki. Nikt się nami na stacji nie interesował nie dawał żywności. Mieliśmy na szczęście jeszcze trochę chleba i zapasów z domu. Na drogę chleba wzięliśmy mało, bo zbliżał się piątek i nie zdążyliśmy jeszcze nowego wyieść. Na szczęście udało się mi przez kolejarz jak staliśmy na stacji powiadomić siostrę i ona zdarzyła jeszcze donieść nam trochę chleba. Pamiętam jeszcze jedną rzecz, w czasie pobytu w szkole - punkcie zbornym, ojciec mój powiedział coś co się nie spodobało strażnikowi, został przez niego podeptany i dotkliwie pobity - był to Łyd..

Wracając do naszego pobytu na stacji. Wreszcie przyjechały po nas sanki, jechaliśmy nimi jeszcze ok. 150 km w głąb lasu. Zawieziono nas do lesopunktu Kiernasz-Kirgiuszewski sielsowiet. Najbliższa wieś była od niego oddalona o około 60 km. W Kiernaszu była komendantura. Nas zawieziono jeszcze dalej do lesopunktu Oczenoziero, bo wokoło były jeziora. Na naszym osiedlu umieszczono 10 Polskich rodzin. Zamieszkaliśmy w barakach. Zaraz zrobiono nam zebranie

na którym przypdzielano nam pracę. Mi kazano zaprzędnąć konia pojechać do lasu przez jezioro. Ja nie umiałam zaprzędnąć konia, powiązałam je jakoś i jak wjechałam na jezioro to oczywiście koń mi uciekł. Sanki pozostały na miejscu. Zaczęłam płakać, miałam szczęście, że miejscowi z widząc moje kłopoty złapali konia i pomogli go znowu zaprzędnąć do sady. To nie był koniec moich kłopotów. Jak wjechałam do lasu to okazało się, że koń nie chciał mnie słuchać, a było go nie można było, bo to groziło poważnymi konsekwencjami. Koń był przyuczony i reagował tylko na przekleństwa rosyjskie, a tych to ja jeszcze nie miałam czasu poznać. Przyszedł wtedy do mnie majster lasu i zaczął na mnie krzyczeć. Nałożyli mi robotnicy drzewa na sapie i kazali zawieźć do wioski. Teraz koń też mnie nie słuchał. Nie było innej rady musiałam nauczyć się "jobkać". Pracowałam tak pewien czas, ale okazało się, że NKWD uważało moją pracę za lekką i przydzielono mi bardzo małą rację chleba. Nie mogłam sobie na to pozwolić przecież miałam na utrzymaniu dużą rodzinę. Trzeba było przejść do innej pracy, tak trafiłam do brygady, która zajmowała się wycinaniem drzewa. Pracowało nas w niej 7 osób. Wyrobić normy przewidziane dla niej było bardzo ciężko, i tutaj też mi mało wypłacili, tak że nie wystarczało, aby przeżyć. Nie było innej rady ratowaliśmy się sprzedając a raczej wymieniając za żywność przywiezione rzeczy. W tej brygadzie nie zostałam, bo byłam tam krzywdzona. Przychodziłam z pracy bardzo zmęczona, nie było bowiem prostą sprawą naciągnąć gałęzi na 7 osób, nie byłam w stanie wieczorem nic utrzymać w rękach. Postanowiliśmy założyć własną brygadę 3-osobową, by w ten sposób móc pracować na własny rachunek. Namówiłam przedtem jeszcze dwóch panów, którzy też musieli zarabiać na rodziny i powiedziały, że w razie kłopotów wszystko biorę na siebie. Przystąpiliśmy do pracy. Kiedy to się wydało przybieg do nas majster Karęski /Kosienin/ i stwierdził, że chyba zwariowałam pracując w takim składzie. Odpowiedziałam, że nie miałam szans zarobić w poprzedniej brygadzie na chleb i że mam na utrzymaniu 6 osób. Wieczorem zrobionym w tej sprawie zebranie, ale ja twardo obstawałam przy swojej racji, trochę pokrzyczeli na mnie ale co najważniejsze zgodzili się na powstanie naszej brygady. W tej brygadzie przepracowałam zimą do wiosny. P. Milej, który ze mną pracował

nabawił się gruźlicy i zebrałi go do osiołku. Mojemu drugiemu współnikowi zmarła w tym czasie żona pozostawiając mu dwoje dzieci, on też musiał udać się do osiołku by się nimi zajął. Dali mu robotę na miejscu. Zostałam bez brygady. Lato już w innym składzie wysłano mnie na sianokosy, po prostu dano kosy i kazano kosić. Nasza brygada liczyła 5 osób, byłam tam jedyne kobietą. Nigdy poprzednio nie miałam kosy w rękach, przez pierwsze dni złamałam dwie zanim się nauczyłam. Musiałam za nie oczywiście zapłacić. Kosiliśmy tak przez całe lato, mieszkaliśmy pod świerkiem. Co pewien czas pozwalano jednemu z nas pojechać po prowiant. Pamiętam był październik, a nam jeszcze nie pozwolono powrócić na osiołek, było już zimno. Pan Krajewski zachorował. Poprosiłam wtedy abym mogła pojechać po żywność i przy okazji odwiedzić rodzinę. Zgodzono się na to. Ja aby przędzej dostać się do domu zdjęłam buty i przeszłam boso przez tworzącą się krę. Przyleciałam do domu przemawiałam z mamusią i dziećmi bo ciągle płakały z powodu mojej nieobecności. Nie miałam jednak czasu i musiałam zaraz wracać. Prowiant jaki dostawałam to oddawałam mamie aby dzieci miały co jeść, zatrzymując sobie jedynie chleb. Dawano nam czasą kaszę jęczmienne. Dzieci bowiem dostawały jedynie porcję 300 g chleba i nic więcej. Mnie wydzielano 700 g. Trzeba było ciężko pracować aby przeżyć.

Pozostawialiśmy poza domem do czasu aż już się zrobiło bardzo zimno, wtedy to jednakże pozwolono nam wrócić do domu. To co nakosiliśmy przez całe lato nie zostało zebrane, nikt więc z tego nie miał korzystać, stało pogniłe.

Oczywiście nie zapłacono nam więc za pracę. P. Krajewski który zachorował po powrocie do domu zmarł. Przynależała następna zima. Znowu zaczęłam pracować w lesie, ale już w innym miejscu. Było to tak daleko, że ciężko przyjeżdżało się do osady. Nocowaliśmy na uczastku, mieliśmy tam stołówkę. Jakaś polecała gotowała nam mocznicę. Każdemu wolno było wykupić tylko jeden talerz dziennie.

Letem sjadały nas komary zimą znowu mróz łapał się we znaki. Praca była bardzo ciężka. Robiłam w brygadzie trzy osobowej. Pracowała z nami kobieta Polka, ona się zupełnie nie nadawała do lasu, ale przecież nie miała innego wyjścia, jak chciała przeżyć to musiała pracować. W tej brygadzie to nawet na sól nie można było zarobić. Postanowiłam pracować tylko na swój rachunek, powiedziałam o

mojej decyzji majstrowi. Uważałem moją decyzję, samodzielnej pracy za czysty szlachetny zawód, ale postanowiłem nie przekazać szalonej. Na jedną musiałam utrzymać rodzinę. Wiedziałem już jak trzeba się zabrać do pracy jak trzeba umiejętnie podcinać drzewo by spadało gdzie chcę, jak sortować i układać. Musiałam sama sobie być drwalem i brzoźcą i wszystkim innym. Z początku majster pisał listy przeciw moim zamiarom. Ja wiedziałem czego chcę i powiedziałem, że z głodu nie umrę, że będę zbierała jagody i grzyby. Przez jeden dzień rzeczywiście nie pracowałam, przynajmniej najdłużej się jagoda. Na drugi majster się złościł i dając mi piżkę powiedział mi, że nie z tego nie będzie, że przygniecie mnie drzewo. Początkowo jak przystąpiłam do pracy to myślałam, że rzeczywiście nie z tego nie będzie. Rano przywiązałam pręgę sztak, tak aby spadały tak bym mogła je przesuwać do przejazdu. Robiłam cały dzień, wieczorem jak przyszedł majster i zaczął mierzyć modliłam się by wszystko było dobrze zrobione. Okazało się że zadowolony, i robota była wykonana przewidziano. Majster pochwalił mnie mówiąc "ot zdolna Polka". Tak pracowałam do jesieni. Wyrabiałem wtedy a było to lato 1941 roku 1.5-2 normy. Gdyby mi wykacili uczciwie za całą robotę to bym nie cierpiała głodu i stać by mnie było na wykupienie chleba dla całej rodziny, ale tam im się więcej robiło tym większe kłopoty. To są początki. Przy obliczeniach też oszukiwano, każdy liczył jak chciał. Jesienią powróciłam do posiadłości i z nią związałam z rodziną. W tym czasie było to już po wybuchu wojny przychodziło do nas wielu uciekinierów, ale też i wielu mężczyzn uciekało na front.

Przez ten cały czas dzieńami opiekowała się moja mama, ja mogłam więc spokojnie pracować. Ludzie którzy nie przystąpili od razu do pracy skazywali na śmierć głodową. Pamiętam rodzinę Durów, młodzi ludzie nie przystąpili od razu do pracy, a potem to już nie mieli się pracować. W podobnej sytuacji postawieni byli tatarsi ludzie, ludzie samotni. Oni pierwsi zapewnili nasz omenarz. Wtedy mój chłopek mi powiedział i trochę dorobił poszedł na ryby i utonął. Stało się to już pierwszego roku. Nie miałam czym go przywieźć, bo nie dano mi konia. W tym czasie byłem na sianokosach. Dopiero wieczorem po pracy pozwolono mi spróbować odszukać i przywieźć tatę. Wymagałam 4 mężczyzn by przywieźli cię. Było to trudne zadanie, gdyż teren był bagnisty, jeden z mężczyzn

wycelował się. Przyniesliśmy go na miejsce i pochowaliśmy na cmentarzu.  
To nie była jedyna tragedia jaka mnie dotknęła. Najmłodszą córkę w grudniu pierwszego roku mi zachorowała i umarła. Nie było lekarza by jej pomóc. Pochowana jest obok tatusia nad jeziorem. Po amnestii nadal pracowałam w lesie. Mieszkałam w takiej kurnej chacie z belenijskim porządkiem. Strasznie się tam przeżyłam tak, że przyszedłam do domu i udałam się po zwolnienie do lekarza. Dzieci chodziły do szkoły, w pierwszej chwili zgodziłam się na to, ponieważ ja pracowałam i nie mogłam się nimi zająć. Pomyślałam będzie miały zajęcia. Po pewnym czasie córka przestała uczęszczać na zajęcia, po prostu szkoła była bardzo daleko i nie chciałam, by się zruszczyła, Polacy nie puszczali dzieci do rosyjskiej szkoły.

Wydawałam, przed amnestią Polacy nie mogli nawet marzyć o lekarzu. Wiele istniejących było przecież aptek z lekami i fachową opieką.

Wielu Polaków umarło szczególnie do amnestii umarło prawie 30-40% ogólnej ilości, ja sama straciłam dwie osoby.

Postanowiłam opuścić posiadłość i udać się do wojska o którym słyszałam. Kiedy jeszcze leżałam chora przychodziła do mnie sąsiadka i namawiała mnie aby pójść do rejonu i zapisać się do wojska. Tak postanowiłam, jak poczułam się lepiej wyruszyłam do oddalonego o 60 km rejonu. Miałam trochę szczytności i zakwalifikowano mnie na wyjazd, nie wszystkim bowiem wydano pozwolenia, kobieta która wyszła ze mną męża w tej samej sprawie otrzymała odpowiedź. Przypuszczam, że wyznaczono mnie dlatego iż w rodzinie tylko ja jedna pracowałam utrzymując rodzinę, u niej było 4-pracujących więc jej odmówili. Możemy teraz kontaktować się z Rosjanami, kiedy było to nie do pomyslenia. Jak chciałam coś wymienić z rzeszy, aby otrzymać trochę żywności musiałam pokryć sobie wyjazd przez dwie noce pokonać odległość 120 km i rano zameldować się do pracy. Udało mi się wtedy kupić kartofli, których nie widziałam przez dwa lata cebuli /która dostałam od Ukraińca w tej wsi mieszkali bardzo miłi ludzie. Za ten wypadek mogłam mieć kłopoty, bo kobiety tej wybrały się do tej wsi tyle, że w dzień i je złapano. Przemawiały się ze mną to była wolno z nią nie. Przeprowadzona nawet dochodzenie. Na szczęście oskarżenia nie mogli zrozumieć jak mi się to udało i uwatowali co za to rzecz za niemożliwą. Taką odległość po śniegu przez dwa dni.

Wychyliśmy do wojska przed wojną. Wraz z nami pojechała  
moja ciocia Oksana i Grzegorz. Dostaliśmy pozwolenie do rejonu  
Leningradzkiego / było to wójt z prowiantem, który wrócił z rządu z tym samym wyjazdem  
zachorowała ciężko moja córka Halina. Stanąłem przed dyktando czy jechać  
czy nie. Zdecydowałem się dopiero na wielkie prośby mojej najmłodszej córki  
która corocznie namawiała mnie do wyjazdu mówiąc, że pojedzie z nią matka,  
że Halinka otulimy kołdrami. Zdecydowałem się na wyjazd. Na drodze stało  
się nieszczęście, że zdrowa córka nagle umarła, nie miałem nawet czasu, jej  
pochować tylko przykryłem ją śniegiem. W tym samym czasie moja ciocia umarła  
dwa dni później. Jak ojciec zaczął żyć w miasteczku, to Rosjanka poradziła mi, abym  
za wszystkie pieniądze i rzeczy jakie posiadałem kupił sobie mydło i papierosy.  
Mówiła, że to wszystko strawił kawałek chleba. Okazało się to prawdą.  
Już w drodze do Chomogorki /stacja kolejowa/ za mydło udało mi się kupić  
mleko dla pozostałej garstki dzieci dla ciężko chorej Halinki. Na nieszczęście  
było ono w butelce. Mleko zmarzło a butelka pękła. Zdecydowałem się  
zaspokoić kołchozów, tam za sukieneczkę, po zmarłej udało mi się kupić  
mleko i nakarmić dziecko. W Chomogorkach nie wpuszczano nas do wagonu pomimo iż  
posiadaliśmy bilety. Saturnem zdobyliśmy wagon, który jechał pu-  
sty. Dojechaliśmy nim do Wołgody. Tam nas chcieli wyrzucić z wagonu. Z córką  
na rękach poszłam szukać miejsca do spania, poszłam do Rosjanina  
Rosjanina dowiedziałem się, że nie mam tu co tam iść. Tam, jak się wyraził  
Polacy leżą pokodem i umierają czekając na porządek. Poradziłam im nie opuszczać  
naszego wagonu to w końcu nas wykopali dalej. Zdecydowałam się na trzy ty-  
godnie. Zdecydowałam się, że nie ma nic innego jak iść. Bez tyko udało się kupić  
kawałek chleba. Na szczęście dwaj chłopcy odkryli w wagonie worek  
mąki i go przewieźli do wagonu. To nas uratowało. W czasie podróży do wojska  
w naszym wagonie umarło z głodu 4 osoby. Zdecydowałam się w czasie postoju  
na stacjach. Staraliśmy się nie sprzedawać ja wcale, a czasem sprzedawali  
my o tydzień. Pewnego dnia kiedy przyszedłem z ziemniakami nie zastaliśmy już  
pociąg. Wpadłem w szaleństwo na stacji jak szalała. Nie chodziło mi  
o pieniądze, ale wiedziałem, że bez mojej pomocy żaden człowiek nie może żyć.

okazało się że wagon został tylko przeczeziony do innego składu. Trzeba było jednak ryzykować aby przetrwać. Dotarliśmy do Suzuku. Tu nas powitała polska placówka. Przyniesli nam prawdziwą kawę z holowej

XXXXXXXXXXXXXXXXXX

W dalszej części narracji opowiedziane są dalsze losy P. Kwienińskiej i jej rodziny, która przedostała się do Iranu w czasie ewakuacji i jej życie w Palestynie i Afryce aż do powrotu do kraju ok. 30 lat później.

XXXXXXXXXXXXXXXXXX